

KAMENA

MIESIĘCZNIK
LITERACKI

ROK V

NR 2

TREŚĆ NUMERU DRUGIEGO

GRZEGORZ TIMOFIEJEW	Z rodowodu Judymów	str.	21
STEFAN NAPIERSKI	Elegia	„ „ „	25
ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI	Oczy	„ „ „	26
CZESŁAW JANCZARSKI	Idylla	„ „ „	26
PIOTR KORZUCH	Artysta jaskiniowy	„	27
STAN. KAZ. TRAWKOWSKI	Na mapniku piszę		
	ostatni może wiersz	„	27
VITIEZSLAV NEZVAL	Śmierć	„ „ „	28
JAN SMREK	Triumf	„ „ „	29
JOHN MASSEFIELD	Piękno	„ „ „	30
JAMES STEPHENS	Deirdre	„ „ „	30
ERNEST DOWSON	Posłanie	„ „ „	31
RUPERT BROOKE	Żołnierz	„ „ „	31
SACHEKERELL SITWELL	Dwie pieśni	„ „ „	31
KAZ. TRUCHANOWSKI	O budowie systemów	„	32
HIERONIM MICHALSKI	Przegląd poezyj	„ „	37
	Kronika słowiańska	„ „ „	39
	Noty	„ „ „ „	40

Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawca: Zenon Waśniewski.

Administracja: Chełm Lub., Reformacka 43

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezeki.

Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna (10 numerów) 5 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 50 gr.
Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym. Numer okazowy „Kamień” wysyłamy tylko po uprzednim nadesłaniu 60 gr. przekazem lub w znaczkach pocztowych.

CENA NUMERU 60 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura“ Chełm Lub. 10.



K A M E N A

MIESIĘCZNIK LITERACKI

ROK V PAŹDZIERNIK 1937 R. NR 2 (42)

Z RODOWODU JUDYMÓW

Najnowsza powieść autora „Pawich piór“ nie jest chwilowym tylko załapaniem tchu u rozburzonej rzeczywistości. Rewizjonizm historyczny był dla Kruczkowskiego jedną z postaci tej idei, której siła daje widzenie zarówno w głąb czasu, jak i na szerokość współczesności, idei docierania do rozżarzonego jądra konfliktów... Dociekliwość ludzka pisarza, pasja krytycyzmu zdawały się szukać sobie łożyska i ujścia. Była nim zamierzona trylogia historyczna; jest też nim tak samo naturalnie obecna par excellence współczesna książka.

„Sidła“ (Gebethner i Wolff, Warszawa 1937) dają głos sprawom niepokojąco nurtującym dzisiejszość, a wyodrębnionym przez pisarza w ostrych ideologicznych konturach.

Podjmując temat aż nazbyt współczesny bezrobocia i jego skutków, Kruczkowski ustrzegł się przecież zwykłego reportażu. Henryk Bogdalski, buchalter u wielkiej firmy stracił pracę. Tu jest zwiątek tragedii, którą autor jak mroczny cień rozsuwa i rzuca także na żonę zredukowanego pracownika oraz świeżo przyjętego sublokatora, dra Emila Rudnego, Trójkąt miłosny, aż do znudzenia znany, otrzymuje jednak nowy aspekt, odmienne zadziernięcie i powiązanie.

Bogdalski stracił pracę. Strącony został w dół pomiędzy szeregi ludzi o twarzach startych i rysach bezindywidualnych. Mógłby tkwić tutaj, nieruchomy już i głuchy jak kamień, ale jak kamień właśnie tający w sobie groźbę. A nuż zredukowany buchalter dojdzie do klasowego zrozumienia swojej klęski i powiększy siły „walczącego proletariatu“?

Ale Bogdalski odbywa inną drogę, osobistego tylko przeżywania swojej tragedii. Podkreślić trzeba, że taki stosunek do zjawiska bezrobocia mija się ze stanowiskiem autora; w tytule powieści („Sidła“) Kruczkowski nie kryje swojej negacji, spieszy z ideologicznym komentarzem... Za tym przetycia Bogdal-

skiego miałyby ilustrować los bezrobotnego — los nieuświadomiony.

Albowiem inteligent buchalter osadzony jest mocno w swoim środowisku. Wzrósł tu całym sposobem życia, przekonaniem o przypadkowości jego losu, który stanowi pono jedynie odchylenie od równowagi mieszczańskiego dobrobytu i niedługo wróci do stabilizacji w jarzących uśmiechach fortuny. Gdy nawet traci tę wiarę jako zasadę, to przecież szuka wyjścia indywidualnego. Jest niepokojąco sam, ale też z tego nie rezygnuje. U Żeromskiego Baryka staje na czele idącej burzy Tenże moment — demonstracji ulicznej — Kruczkowski nasuwa swojemu bohaterowi z kusicielską sposobnością, lecz Bogdalski odwraca się od tłumu, wybiera swój samotny posterunek i na nim ginie.

Dlaczego? Poczucie życiowe Bogdalskiego jest czysto biologiczne; prawdopodobnie wyposażenie bohatera w intelekt nie leżało w intencjach pisarza, który chciał dać typ przeciętny bezproblemowy, podchodzący do życia nie od treści wewnętrznej i zadań ideowego konstruktora, ale od strony wygody i mieszczańskiego smaku. Można by zrobić Kruczkowskiemu zarzut, że umyślnie pokierował krokami Bogdalskiego, by ten wpadł w sidła. Jakby rzecz się miała, gdyby... Ale Bogdalski czuje się w swoich imponderabiliach tak świetnie osadzony, że nawet fakt redukcji nie zdoła wykrzesać z niego dociekającej myśli i zaprowadzić na obronne wobec nacierającej zagłady stanowisko. Bohater Kruczkowskiego usiłuje oprzeć się na samym sobie, właściwie na zewnętrznych przejawach swojej indywidualności życiowej i pozorach.

Wysiłek ten — wbrew faktom, wbrew oczywistości — musiał wtrącić Bogdalskiego w obręb fikcji, zżerającej wewnętrznie fantastyki. Bohater Kruczkowskiego żyje podwójnym jak gdyby życiem: został zredukowany, a udaje, że nie jest bezrobotnym. Mocuje się w sobie, na dnie własnej samotności waży swoje rozpacze i nadzieje. Żyje wśród ludzi swego środowiska odrębnym i gwałtownym — ponad swoją normę — życiem psychicznym. I to jest chyba świeży aspekt, jaki do tematu już na dobrze wypisanego dorzuca Kruczkowski. Zjawisko bezrobocia wśród inteligencji widziane oczami społecznika i psychologa.

Stan Bogdalskiego nie mógł pozostać bez wpływu na los jego żony Janki, obracającej się w kieracie zarobkowania. Utrzymywała męża, t. zw. dom i to po czterech latach przeszło już prawie w nałóg. Ale w głębi siebie każdy poczynał wieść odrębne życie; oddalali się wzajemnie, rozchodzili psychicznie.

Sprawy materialne jakoś się ułożyły, utarły. „Lecz jasnym było — mówi autor — że pod powierzchnią wspólnego, jawnego i zwyczajnego wieść zaczynali teraz, każde dla siebie, jakieś wtórne, nielegalne życia wewnętrzne, niczym prawie nie powiązane ze sobą“.

Miłość Janki minęła; pamięć o niej jak uschła gałąź została odłamana od pnia żywotności. Przyszła litość, potem zniecierpliwienie, potem poczucie ciężaru swego losu, wreszcie utrapienie i beznadziejność. Zdawałoby się koniec... Lecz dołączył Janki zahaczył Kruczkowski o sprawę dra Emila Rudnego, sublokatora Bogdalskich. Wbrew późniejszym narostom psychologicznym ten trójkąt miłosny począł się z nieefektownego, lecz oryginalnie ujętego przez pisarza faktu. Janka i doktor wychodzili z rana do pracy; trzaśnięcie drzwi zamykało za nim świat bezrobotnego, wyodrębniało ich, łączyło. Najwcześniej uświadomił to sobie sam Henryk. „Tamtych dwoje złączonych jednobrzmiącym trzaśnięciem drzwi — i jego groźna samotność“. Tamtych dwoje podążało w świat, co się działo; Bogdalski zostawał pochmurny w obłąkańczym kolisku swojej fikcji. Poddawał się irracjonalności, dawał się miotać sile przypadku, aż wyładował się w morderstwie, w bezsensownym powetowaniu swojej krzywdy.

Życie przesunęło Bogdalskiego na marginesy. Ale klęskę jego podejmują Janka i Emil, zdają się wyciągać wnioski... Doktorowi została przydana społeczna świadomość faktu, która tak brakowała zredukowanemu buchalterowi. Tamten był tylko obiektem, tworzywem życia; Emil góruje nad Bogdalskim refleksją, sądowaniem swojej rany i wyciąganiem wniosków. Ale do końca prawie powieści jest to postawa obserwatora, typowego podpatrywacza siebie samego i ludzi oraz rezonera. Doktor czyni chwilami wrażenie jakowegoś medium, poprzez które przemawia autor w całym swoim ideologicznym rynsztunku. W pewnym sensie i ten bohater znajduje się na marginesach. Gdy Bogdalski żyje, ale pozbawiony jest świadomości swego losu, Emil dopracowuje się w sobie pełnego rozumienia dzisiejszego świata, lecz nie zna czynów.

Jakkolwiek trapi go brak działania. Ściśle mówiąc: brak dokonywania. Bohater Kruczkowskiego podobny jest w tym do Judyma. Kruczkowski świadomie może tę paralełę podkreśla. Emil jest również lekarzem i tak samo jak Judym głosi, że w dzisiejszym świecie wiedza lekarska stanowi towar „dostarczany z bardzo nierównomierną sumiennością, przy czym stopień tej sumienności mniej zależy od cierpień zainteresowanego, a znacznie wię-

cej od stanu jego portfelu". Ale przy tym wszystkim bohater Kruczkowskiego, podobnie zresztą jak Judym, nie budzi zaufania. Jego akces do lewicowości, rezonerstwo i żółciowe reformowanie życia w każdym calu — wywołują podejrzenie, że pod osłoną społecznikostwa kryją się po prostu jakieś osobiste kompleksy, niezaspokojone uczucia. Dalszy tok narracji potwierdza nasz domysł: osamotniony tragicznie Emil, wyzbyty własnej treści, przyłgnął do obcej sprawy. Tu żyje, ale jakoś oschle i papierowo, nawet bez wstrząsów bohaterów Żeromskiego. Warto na przykład porównać dysputy ideologiczne Emila z przedstawicielem endecji, Wielemskim, z tym krzyżowaniem zdań, jakie ma miejsce w „Przedwiośniu“ w scenie między Baryką a Gajowcem. Gdy bohater „Przedwiośnia“ po prostu wybucha pasją, szarpie się w obserwacjach życiowych i faktach, Emil powtarza książkowe prawdy socjalizmu.

A jednak dzieją się na tym odcinku przemiany, głębokie uświadomienia i imperatywy — i na tym zdaje się polegać racja nawiązania do autora „Ludzi bezdomnych“. Emil wie, że żyje pod straszliwym ciśnieniem potęg „zaciekle wojujących“. Jest schwytny, ginie w sidłach. Zadaje sobie pytanie, czy ma czekać spokojnie na wyrok historii, czy też... Ale ta sprawa łączy się u niego z doznaniem natury osobistej, miłością do Janki. I tu — dookoła rzeczy tak prostej — widział Emil matnię fatalnie uwikłaną, nierozwiązalne przeciwieństwa. Najsubtelniejsze palce nie rozplątałyby tych sidłał. Pozostało już tylko nagłe szarpnięcie, ruch bolesny ale jedynie skuteczny. Inny jednak, aniżeli w „Ludziach bezdomnych“...

Jednocześnie fakt ten przerasta u Emila w świadomość konieczności rozwiązań, nie tylko życiowych. Przychodzi groza, brutalność, ale i łatwość decyzji. Gdy Bogdalski z obojętnością i pogardą mija tłum demonstrujących bezrobotnych, Emil wyjmując z ciał postrzelonych kule, wyciąga jak gdyby wnioski: „materialna prawda czasu, najpewniejsza rzeczywistość chwili (jest to) kula karabinowa“. Wprawdzie, nie mamy danych, by twierdzić, że Emil stanie się praktykiem wyznawanego przez siebie świata idei... (Zresztą, książka podprowadza jedynie do zgodnego z założeniami autora rozumienia danego problemu). Ale rozdwojony dotąd nurt psychiczny bohatera został powiązany, ujednoczony, oparty zarówno o miłość sprzymierzonej kobiety jak i zasilony klęską Henryka Bogdalskiego. To zaś postawę życiową wzmacnia, czyni ją bardziej męską i wyzwoloną. Tędy obraca Kruczkowski swą pozytywną treść; wszystko przeżyte — przez tych trojga — ma charakter ostrzeżenia, zgodnie z intencją tytułu powieści.

Bogdalski zginął, Emil rozerwał sidła. Wywodząc się z rodowodu Judymów, przynależąc do ludzi, przejętych „sprawą“ i walczących, bohater Kruczkowskiego przewycięża jednak w sobie niedokonanie, zasklepia rany i sposobi się na męskość. To już nie jest ponoszący nas prąd liryzmu, ale powzięcie ostateczności, rozważnie uprzytomniona konieczność.

Zestawienie z Żeromskim daje też miarę klasy pisarskiej Kruczkowskiego; jest ona wysoka i wśród młodych prozaików bodaj najpełniejsza.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

E L E G I A

Rozlubowany w niebie, przez mary zamknięty,
Patrzę, jak przemijają powolne okręty,
Tęskniące za mną; wielka jawa tleje,
Dziś żegnam ją uśmiechem, jak niegdyś nadzieję.
W blasku bogini z soli wyłania się widna,
Drzewa, obłoki, zioła wieją, piękne widma,
Bez żalu liście gasną, zamierają trawy,
Nawy mijają, widzę błyskające zjawy
W rdzy jesiennej, jak kładą się pod kosą cienia,
Łagodne, w pasmach ciemnych sennego cierpienia,
Sianokosy dojrzałe zmierzchającym smugiem,
Poza wzrokiem, uległe, i czekaniem długiem
Wypatrujące gwiazdy błogiej zmartwychwstania,
Bóstwa, które boleści urastać nie wzbrania.

W szronie fioletowym, gdy brzask się przesila,
Ponad pola oblicze ślepe się pochyla,
I z niebios opadają na powieki włosy;
Westchnienia ponad mrokiem, zroszone pokosy,
Sunące jak źrenica przed uśpionym okiem,
Skarżą się, że je śledzę nieruchomym wzrokiem.
Pragną powracać w niebyt zamglone otawy,
Zanim zorzy je skosi sierp stalowo-rdzawy
I ukośnie położy nad jeziora lustrem.
Rozchylają się wargi, jak gdybyś był bóstwem,
Szemrzą bełkotem sennym nad płynięciem strugi,
Z której jak pacierz ranny wstaje opar długi,
Łąka echem przywtarza, dawny raj zielony
Zwiastują, kędy biegną skokiem w pętach konie,
Ostrą wonią świtania parujące ługi,
Na które jak do lotu martwe kładziesz dłonie,
Rozlubowany w ziemi, chmurą uwięziony

STEFAN NAPIERSKI

O C Z Y

Janowi Brzękowskiemu

W ucieczce przed wiecznością strzelającą gwiazdami
w skrzydłach słońca szukając bezpiecznej dnia osłony
związana biegiem ziemia oddycha kolorami
człowiek tworzy z nich wartość : tęsknotę niewidomych

Oczy mijanie życia ustalacie błękitem
wyznaczacie w przestrzeni miejsca ludziom obłokom
bez was byłoby więcej gwiazd jeszcze nieodkrytych
bez was przybliżyłby się czas ostateczny spokój

Ruch uwolniony od drogi i celu istnieje poza wami.
Ruch i czas są jedynymi wartościami rzeczywistymi.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

I D Y L L A

Natalii A.

Na senną głębinkę obłoki kładą dłonie
i garną cienie zatopionych łóz.

Kołysani, widzimy dno z niebieskiego szkła.
Nad łozami krzyk kaczkę się poniósł
jak zbłąkana błyskawica dnia —

Rozbiegły się po wodzie duże koła;
deszcz szedł wtedy jak krople jarzębin.
Mówiłaś najcichszym szeptem aniołów:
ani deszcz serc naszych nie wyiębi.

A potem cisza była uroczysta,
u brzegów wstały smukłe piołuny, dymy,
utonąła w chmurze nasza przystań,
w chmurze leżymy.

Klaszczą w dłonie wokoło chmurki młode
leśne dzwonki podają konchy chłodu.

Byliśmy razem — —
aż na fali błysnęły dwie gwiazdy jak złote lichtarze.

CZESŁAW JANCZARSKI

ARTYSTA JASKINIOWY

Morze przynosi ryby i zieleń w potrzasku.
Za skałą czekasz. Słońce już w wodach umiera.
Nadciąga łopot nocy, która mięśnie zwiera.
Goni przyływ twe stopy po gasnącym piasku.

Potem w jaskini ciężkiej, pośród iskier trzasku,
Kiedy przestrachem każdy senny okrzyk wzbiera,
Dłoń ciężka mchy zielone z mokrej skały zdiera
I ryje kształty dziwne białą linią blasku.

Patrzący w mrok przemijań, skłębiony jak morze,
Gdzie zmierzchem co dzień gasną szmaragdowe dźwięki
Próżno szukam twej twarzy przez mroków bezdroże.

Blednie skała, gdy cicho mech z niej spada miękki
I linie drżące jeszcze na kamiennej korze
Rosną zwolna nad falą w skurcz tonącej ręki.

PIOTR KORZUCH

NA MAPNIKU PISZĘ OSTATNI MOŻE WIERSZ

Milcząca stal rzeki
w cichość sływa wieczoru.
Kontur domu jest miękki
w krzepkości starych patriarchów — szarozielonych grusz.
Z zachodu
wiatr;
połem: pies z resztkami rozerwanego łańcucha;
góraj: tabory chmur.
(na zegarku za siedem sekund ósma)
Niebo nad czołem
półkolem
ciężkiego hełmu.
Jakiś adres zapisany na kartce
— — jeżeli padnę... — —
W ręce zimny chłód lodu,
w ręce
kurczowo trzymany rewolwer
Zegarek tykotem liczy życie
Na mapniku piszę ostatni może wiersz:
marszem zbliżania pójdziemy w śmierć.

A T A K

STANISŁAW KAZIMIERA TRAWKOWSKI

Ś M I E R Ć

Spłyniecie potem deszczowe obłoki z wyżyn
Na ten pagóreczek ziemi
Gdy będę wśród korzeni
Jabłonek spać
I ja wiem że ten dzień przyjdzie
Niechżeż więc sobie kiedykolwiek przyjdzie

Po niebie
Po pięknym czystym niebie
Popłyną okręty z dalekich zatok
A tyle ich będzie
Że nawet ludzie nie rzekną
Cień
Wszystko będzie ostrożne jak mateczyny oddech
I nic mię nie urazi
Będę już tylko snić
Jak w raj
I czemuż by nie
Wszakem tak często już widział raj
Gdy cichły wieczorne dzwony

Wszystko się zakolebie
Ale nie tak
Jak kiedy przed mdlejącym świat
Pada
Wszystko się bacznie zakolebie jako ta wielka ziemia
I przede mną calutki przejdzie moje życie
Tak jak przychodzą z najcięższego boju
Do domu na święta żołnierze
I odtąd w śnie głębokim w głębokim śnie będę leżał
Daleko daleko aż w swym dzieciństwie

Zobaczę tatka jak się chyli
Nad gorącymi mymi powiekami
Usłyszę matuś jak cichutko płacze
Siostra mi zagra jak wtedy gdy ktoś ją prosił
Kde domov mój
A w rytmie szerokim pieśni
Z upartym wzrokiem
Będą przechadzać się piękne kobiety
I ta co wyszła za mnie
Każda z nich powie coś ładnego
Z tego co umie rzec najlepiej
I już nie będzie owych ciężkich chwil
A tylko piękne będą
Aż wreszcie się opiję
Wróconym życiem które kocham
Zobaczę tatka z dubeltówką
I będę trzyletnim dzieckiem

Tatko pójdzie ostrożnie
Podwórzem mego rodzinnego domu
Pójdzie tak ostrożnie
I nagle na rogu stanie

A ja powstrzymam szybko oddech
Jak gdybym miał trzy lata
Usłyszę trzaśnięcie kurka
Tatko zastrzeli szczura

I jakby niechęący
Wybuchnie ogień

Który mi powie wszelką tajemnicę
Zapłonę zblednę
Serce się zatrzyma
Będę jak szczur ten
Martwy

Spłyniecie potem deszczowe obłoki z wyżyn
A wypoczęte lekkie pamięć o mnie przekażcie

Będę tą czarną ziemią

VITIEZSLAV NEZVAL

Z czeskiego spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

T R I U M F

Kto się urodził,
aby prochem poprzez ziemię brodził,
niech!
W mojej duszy wesele i śmiech!
Skrzydła mam, a któż mi zabroni
nie ulęknąć się powietrznej toni,
zdobyć szczyt, na którym wieczny śnieg?

Wiem ją dobrze, że mój jasny wzrok
przeniknie mgieł oponę!
Człowiekiem jestem, który nie zna trosk,
świat cały chwycę w me ramiona!

O, ten świat!
kochanka moja, wonny kwiat,
wciąż niespodzianki mi przynosi
i ducha mego w dal unosi,
młodość wieczysta jego jest mym sokiem,
mogę go objąć swoim wzrokiem,
mogę zwyciężyć go
i poddać mu się mogę,
podłożyć poden mego żaru ogień,
znaleźć w nim głębię,
znaleźć gwiazd kurzawę
i walczyć w nim
o śmierć, o sławę,
być w nim geniuszem, kiedy los zawoła,
być i robakiem, gdybym sam tak chciał,
mogę oblecieć go cały dokoła,
mogę leć w ziemi obok innych ciał.

W swym szczęściu niepojętym
młuję to, co mi się nigdy nie sprzeciwi,
miasta, rzeki, dziewczęta,
wszystkie świata dziwy,
piękno po wszystkie czasy
i swoje plemię i obce rasy.

O, płowowłose moje plemię,
nie masz drapieżnych kłów ani pazurów
a żyłeś i żyć będziesz na tej ziemi,
a ja w tobie,
choć nowe wiatry powieją —
albowiem mamy w sobie życia siłę,
szczęścia nadzieję.

JAN SMREK

Z słowackiego spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

P I Ę K N O

Oglądałem wschody, zachody i pagórki, co idąc przez wiatr,
Tak są piękne w spokoju, jak dawne, najpłynniejsze hiszpańskie [melodie,
Panią Kwietnia przynoszącą w dłoniach najzłocistszy złotogłowy kwiat,
Trawę jasną tryskającą zielono, ciepły deszcz, spływający łągodnie.

Pieśni kwiatów słyszałem tak wonne i hymn morza wśród bezkresnych [dróg,
Dziwne kraje oglądałem spod łuków białych żagli na chybkim okręcie.
Ale rzeczą najpiękniejszą jednak, jaką w życiu pokazał mi Bóg,
Był jej głos, i jej włosy, i oczy, i czerwonych, drogich warg wygięcie.

JOHN MASSEFIELD (ur. 1874)

Z angielskiego przełożył Jerzy Kamil Weintraub

D E I R D R E

Nie pozwól, by kobieta czytała wiersze te,
bo męska to jest pieśń, dla mężczyzn i ich synów,
dla synów synów owych.

I czas przychodzi, gdy w nas smutek wielki jest
i wspominamy Deirdre, a wiemy przecie dziś,
że prochem są jej usta.

Szła kiedyś po tej ziemi—i w dłoniach męskich dłoń jej,
a w oczy jej patrzyli i słowa jej szeptałi.
Odpowiadała wtedy

Więcej niż tysiąc lat minęło od tych dni,
gdy piękna była. Szła przez falujące trawy
i w chmury spoglądała.

Lat tysiąc!! Dziś tak samo tu szumi zieleń traw
i chmury równie wdzięczne nad nimi się unoszą,
gdy Deirdre żywa była.

Lecz wiedźcie: z cudnych pań—aż po dziś, aż po czas nasz
nie było takiej pięknej, nie było takiej pięknej
wśród żadnej z cudnych pań.

Odejdźcie razem stąd z żałobą w sercu swym.
Nikt kochać jej nie będzie. I nikt i nikt już jej
nie może być kochankiem.

Nikt przed nią nie uklęknie. Nikt nie powie
cóż człowiek może rzec jej? Nie ma słów,
co piękność jej wysłowią.

A dzisiaj ona jest historią powiadaną
o zmierzchu przy kominkach: Nikt już z nas królowej biednej być
nie może przyjacielem.

JAMES STEPHENS (ur. 1882)

Z angielskiego przełożył Aleksander Messing

E N V O Y (POŚLANIE).

VITAE SUMMA BREVIS SPEM NOS VETAT INCOHARE LONGAM

Nie długo trwa ten płacz i to kochanie,
śmiech i żądza i wróg
I wiem, gdy w nas z nich nic nie pozostanie,
przejdziemy próg.

Nie długo trwa wina i róż muzyka
i jak z mglistego snu
na chwilę droga błyska nam i znika
we wnętrzu snu.

ERNEST DOWSON (1867—1900)

Z angielskiego przełożył Aleksander Messing

Ż O Ł N I E R Z

O ile zginę, wiedzcie tylko o mnie,
że gdzieś tam skrawek jest na obcej ziemi,
co będzie zawsze Anglią. Niech przypomni
on wam, że razem z prochy cenniejszymi

padł popiół tam, co w Anglii był zrodzony
i kształt wziął stamtąd myśli, kwiatów drogi
i oddech w kraju tym błogosławiony
przez rzeki słońca i przez dom ów błogi.

Myślę: me serce, gdy zło zniknie zeń,
w wszechświecie bijąc, komuś da tę świetność,
myśli przez Anglii darowane glebę,

dźwięki szczęśliwe jak sny, jak jej dzień
i śmiech przyjaciół miłych i szlachetność
spokoju serca pod angielskim niebem.

RUPERT BROOKE

Z angielskiego przełożył Aleksander Messing

(Rupert Brooke, urodzony w Rugby w 1887, brał udział w kampanii dardanejskiej,
padł pod Skyros 23 kwietnia 1915 roku)

D W I E P I E Ś N I

I.

Dawco balsamu, szumu i śpiewu,
Kołysz koroną, me złote drzewo,
I lato w wiatru wiew przemień miękki
Z paków płynący w ukryte pęki,
Uwięź, jak słowa, których pragniemy,
By zmowy naszej czas wpłynął niemy.

II.

Schwytałem chwilę, włos Czasu siwy.
Ach, on nie zmaćci w jasne przypływy
Magii słonecznej w cichej godzinie.
Jesteśmy razem, a Śmierć nie płynie.

SACHEKERELL SITWELL (ur. 1900)

Z angielskiego przełożył Jerzy Kamil Weintraub

O BUDOWIE SYSTEMÓW

(fragment z powieści „Apteka pod Słońcem”)

Cela moja jest teraz pusta, wywiana i żółta. Przechodzę do sąsiedniej izby w nadziei, że uda mi się znaleźć coś ciekawszego niż te rozwiane na wszystkie strony świata ustawy i kodeksy—i, rzeczywiście, znajduję grubą księgę. Pochylam się nad nią i stwierdzam, że jest to traktat o astronomii. Poczynam ją kartkować i widzę, że właściwie jest to nauka o astronomii, owoc całych pokoleń astronomów, którzy poświęcili się żmudnym obserwacjom, pomiarom i obliczeniom odległych układów gwiazdnych, ustaleniom symbolicznych znaków dla zodiakalnych figur, traktat zaś w księdze tej jest rzeczą marginesową, dołączoną w czasie późniejszym, jako suplement do tego dzieła.

Na samym początku księgi znajduję mapę, wierny obraz naszego nieba. Zagłębiam się w niej i natychmiast zatracam się wśród gwiazdnych bezdroży, błędzę po wertepach niebieskich, zapadając w falujących, jak wodorosty na dnie leniwych rzek oczeretach, rozrośniętych na bezbrzeżnych jeziorach, przeświecających gdzieniegdzie mieliznami.

Lecz wkrótce wracam z międzygwiazdnych bezdroży i, płonąć świętym zachwytem, pochylam się nad rozwianą księgą, chłonąc słowa ezoterycznej nauki. Przy sposobności przyglądam się z ciekawością mężom natchnionym, którzy uwieńczeni laurowymi gałązkami, siedząc w kryształowych obserwatoriach, niby w wieczernikach pańskich, uchylają przed nami kolorową zasłonę i ukazują rzeczy, których nie można określić zwykłymi słowami, rzeczy transcendentalne i znajdujące się poza granicą naszych pojęć i zmysłów, ci zaś mężowie, pełni pachnącej tajemnicy, z ezoterycznym uśmiechem na ustach informują nas o swoich zdobyczach, przesuwają przed naszymi oczami barwne obrazy, malowane kolorami z tygła niebieskiego i zapewniają nas, iż są już na tropie źródła Czasu i Przestrzeni, są bliscy rozwiązania dręczącej zagadki, jaką jest Kosmos. Obecnie sondują głębiny oceanów niebieskich i badają istotę promieni kosmicznych.

Lecz gdy poczynam czytać traktat o astronomii, wiara moja, którą rozgorzałem jak krzak ognisty, ciemnieje i gaśnie stopniowo.

„Kosmos i jego budowa“, czytam, system mechanizmu niebieskiego oraz źródło Czasu i Przestrzeni, stanowią wielką tajemnicę Stwórcy, umysł ludzki nie zdoła jej przeniknąć. Osiągnięcia astronomów są bardzo problema-

tyczne. Czyż, gdy nakreśliśmy mapę nieba, ma dowodzić żeśmy je poznali? Jeśli dano nam zbadać fragmenty geografii niebieskiej, ustalić fizycznie właściwości słońc, planet i odległych gwiazd, w wymierzyć przestrzenie międzygwiazdne, to nie znaczy, że jesteśmy w posiadaniu końca nitki, która nas zaprowadzi do kłębka, zamkniętego w dłoniach boskich. Cała nasza wiedza i nauka o wszechświecie, którą oparliśmy na intuicji poetów nieba—astronomów, na ich inteligencji i rozumie, na obserwacji przez refraktory o wielkiej sile światła, jest jedynie zabawką, którą zaspokajamy nienasycony głód poznania wszechrzeczy.

Zdumiewająca jest wytrwałość ludzka we wspinaniu się po szczeblach anielskiej drabiny, lecz wszystko to, co udaje się człowiekowi uszczknąć z wielkiej tajemnicy boskiej, stanowi tak drobny odłamek, że atomy w porównaniu z tymi zdobyczami wydają się niebotycznymi górami, planetami w zestawieniu z pyłem, osiadłym na szacie przechodnia.

Natchnieni poeci nieba—astronomowie jak pająki po srebrzystych nitkach światła wspinają się na gwiazdy, jak chrabąszcze gramolą się na czworakach po złotych wyniosłościach niezmiernych słońc, wrażliwymi czułkami obmacują skorupy planet, wyschniętymi językami próbują słonego smaku księżyca, wietrzącymi nozdrzami węższą pozazmysłowy zapach dwunastu figur zodiakalnych —i kiedy noc reżyseruje teatr kolorowych zdarzeń, zdarzeń nierzeczywistych i niemożliwych, wracają na ziemię z rozdroży gwiazdzistych unosząc ze sobą rój wrażeń, wyreżyserowanych właśnie przez ową noc w prowizorycznym teatrze na zaimprovizowanej scenie, skleconej naprędce z desek, które pod ich zniebaczającymi krokami uginają się i trzeszczą... Zmęczeni i senni wchodzą na palcach do kryształowych obserwatoriów, by na rusztowaniach cierpliwie budowanych planetariów przylepić z pozłacanej bibułki jeszcze jedną konstelację lub kometę, albo na nieheblowanych deskach rusztowań ukrzyżować siarczystego Pegaza, który w narowistym galopie przednimi kopytami wciąż będzie zawisał w kosmicznej przestrzeni. Potem znowu ci cierpliwi konstruktorzy systemów słonecznych, apologetci mechanizmów niebieskich, wpatrzeni są w granatową przestrzeń, ulegającą stale transformacji, wyolbrzymieni natchnieniem sięgają stropu niebieskiego, odłupując po kawałku lazuruowy tynk, jakby chcieli odsłonić ostatnią i już nienaruszalną powłokę Kosmosu, za

którą jest już absolutna pustka, milczenie i noc. Uno-
sząc się pod kopułą nieba, pociętą i porysowaną żyłami
światła, pasmami promieni, dokonywają pomiarów błę-
kitnych pól, dzieląc je na poligony, rozgraniczone ostrymi
zygzakami błyskawic, lub rozstawiają trójnogi aparatów
fotograficznych, rozciągają jak harmonie ciemne miechy
i, manipulując w tylnej części kamery i płacząc się w
fałdach czarnego sukna, fotografują pejzaże niebieskie,
jeziora i rozlewiska, w których odbija się ustokrotnie
światło księżycy.

Uskrzydleni natchnieniem, zamyśleni, z palcami wplą-
tanymi w zmierzwione czupryny, kluczą po mlecznych
rozdrożach, wciąż błędząc i zatracając się wśród gwiez-
dnych żwirowisk, chrzęszczących pod ich stopami...

Wyczerpani do ostatnich granic, z nowymi zapa-
sami wracają o świcie do obserwatoriów i dalej na rusz-
towaniach z nieheblowanych desek w wysiłku nadludz-
kim budują nowe światy

I gdy po długich latach cierpliwej pracy kończą tę
w gruncie rzeczy lichą imitację systemów słonecznych,
rozpoznajemy wszystkie symboliczne znaki zodiakalnych
figur, lecz okazuje się, że akcesoria tego planetarium są
prymitywne i nieudolne,—strugane niezgrabnie w drzewie
jak świątki przydrożne, wycinane z papieru, lichego ga-
tunku bibuły, lepiące z gliny, wosku i laku,—są tandet-
ne i ledwo trzymają się kupy. Lecz gdy zostaną pomalo-
wane i posypane z wierzchu okruciami cynobru i karmi-
nu, błękitu i grynszpanu, ochry i sepii, kobaltu i złota,
kiedy zastosuje się wszystkie kolory posiadane w tyglach,
—mienia się i migocą pawimi i papuzimi tonami, i wpra-
wiają nas w zachwyty tak wielki, że zapominamy o pier-
wowzorze.

Nie dajmy się zwieść słodkiemu kłamstwu kolorów
i przyjrzyjmy się lepiej tym rzeczom,—czyż nie okaże się,
że „Rak“ jest prawdziwym rakiem, uzbrojonym w klesz-
cze, którymi będzie usiłował uchwycić nas za palec. Jego
chitynowa pokrywa nie da nam nawet złudzenia istoty
rzeczy. A kiedy spostrzeżemy, że to wstrętne pajęczysko
zamiast posuwać się naprzód cofa się ku tyłowi, ze wsty-
dem spuszcza głowy i odchodzimy pełni smutku i re-
zygnacji. „Panna“ okaże się zalotną dziewczyną, uszmin-
kowaną i trzepocącą sztucznymi rzęsami, jej źrenice będą
błyszczące i powiększone działaniem atropiny. Ubrana w
suknię według ostatniej mody, w jedwabiem skrzypiących

pończochach, w lakierowanych pantofelkach na wysokich obcasach, z nieopisaną gracją będzie nam demonstrowała wszystkie swe ruchy w najróżnorodniejszych fazach i położeniach, aż wreszcie dowierci się do naszych nerwów, wywołując dreszczki pożądania i świętego zachwytu. Klęcząc u jej stóp i składając ręce jak do modlitwy, błagamy, by pokazała nam pod lewą piersią małą pieprzycę, ona zaś zapłoniona, zmierzy nas hardym spojrzeniem, otoczy się zwiewną i nieważką jak majaczenie senne zasłoną z gazy i gestami będzie markowała, iż za chwilę odpłynie do swego królestwa, do którego prowadzi jedyny szlak—gwiezdny żwirem wysypana Mleczna Droga.

Przerwywam ten kacerski traktat, biorę księgę o astronomii i idę na wieżę ratuszową z zamiarem skonfrontowania chociażby pobieżnie nauki z rzeczywistością.

Na wieży zastałem Burmistrza,—był zmieszany i dziwił się, że o tak późnej porze zajmuję się lekturą. Opowiedziałem mu przyczynę, która skłoniła mnie do niebezpiecznego wdrapywania się na wieżę po zmurszałej drabinie, poczem rozwinąłem wielką mapę naszego nieba i pograżyłem się w niej zupełnie i tylko od czasu do czasu spoglądałem na niebo.

Burmistrz przez ramię moje również z ciekawością spoglądał na mapę. W pewnej chwili, wskazując na grupę gwiazd narysowanych na mapie i jak wspólnym losem złączonych linią w geometryczną figurę, drugą zaś ręką na niebo, głosem tak zmienionym, iż mimowoli popatrzyłem nań, począł mówić:

— A oto Centaur! — wskazując zaś na jedną z gwiazd tego skupienia, mówił dalej:—Ta gwiazda ze wszystkich gwiazd stałych jest najbliższą naszą sąsiadką. To jest gwiazda alfa—pokazał wydłużonym palcem.—Przestrzeń między nami, a nią przebiega mniej więcej w ciągu pięciu lat, przestrzeń zaś między nami a gwiazdą beta tegoż układu jest dwadzieścia pięć razy większa. Czy zdajesz sobie sprawę, jaka to jest odległość? Uśmiechnął się ironicznie i ciągnął dalej: — Zjawienie się tej pięknej konstelacji wywołuje w naszej wyobraźni korowód kolorowych wizyj z ballad helleńskich. W gruncie rzeczy, ciągnął po namyśle, ten półkoń-półczłowiek jest właściwie starą szkapą do-rożkarską. Przyjrzyj się, jak jego grzbiet jest posieczony batem, zwróć uwagę na kikut żaloszny, upiększający jego chudy tyłek. Czy pojmujesz ironię tego zestawienia? —

Kiwam potakująco głową i podchodzę do tego wspianego ogiera, aby go poklepać po wygiętym karku, podczas gdy on z trwogą rozgląda się na wszystkie strony. Rozumiem jego

obawę! Klepiąc go i głaszcząc po ślicznie zbudowanej piersi, tonem informacyjnym powiadam:—Dorożkarze nie przyjdą, popili się dziś rano i teraz śpią kamiennym snem na pryzkach w koszarach miejskich.—Śliczny, pełen krwi arab, z całą fantazją szlachetnego stworzenia wali kopytami w skamieniałą ziemię suchy, dudniący piorunami śródgwiazdny szlak. Z zachwytem patrzę na ten triumfalny bieg i przy sposobności spostrzegam, że Centaur ma zupełnie znoszone podkowy

—Starły się na żwirze gwiazdym — kiwając głową mówi Burmistrz.

Teraz w kolejnym porządku rozpoznaję wszystkie figury zodiakalne: „Baran“ jest zwykłym baranem i obrzydliwie cuchnie kożuchem, „Ryby“, ugotowane i pachnące pieprzem, bok przy boku, leżą na półmisku, przy nich zaś, jako dopełnienie tego obrazu, w pięcioramiennym świeczniku jarzą się świece.

Czy w świetle tych świec mamy demonstrować resztę symbolicznych znaków? Czy możemy pozwolić sobie na zabawę w prestidigitatorów, którzy z pustego cylindra, po uderzeniu w jego dno pałeczką magiczną, wypuszczają na scenę jeden po drugim białe, kicające na cichych łapkach, węszące stworzonka?

W chwili, gdy nad tym się zastanawiamy, w głębi Ratusza usłyszeliśmy dudnienie kroków, śmiechy i piski. Burmistrz zmieszał się bardzo, ja zaś zająrzałem w otwór, chcąc się przekonać, kto by to był. Na drabinie ujrzałem kilka panienek, wspinały się wszystkie naraz. Krzyknąłem, by uważały, lecz one już były przy nas. Zgrzane jak nigdy, z wypiekami na policzkach, z oczami pałającymi radośnie, poinformowały nas, że do miasta przyjechał wędrowny cyrk.

— Dziś wieczorem dają pierwsze przedstawienie — krzyczały chórem.

— Rzeczywiście — powiedział Burmistrz—zapomniałem o tym zupełnie. Może pójdziemy?—zwrócił się do mnie.

Natychmiast zesłaliśmy z wieży i nie zwlekając ani chwili udaliśmy się do cyrku. Przybyliśmy na sam seans. Zaraz za progiem tej falującej, skąpo oświetlonej budy zgubiłem towarzystwo i zostałem sam.

KAZIMIERZ TRUCHANOWSKI

Czas odnowić prenumeratę „Kameny“ na pierwsze półrocze (2 zł. 50 gr)

Czytajcie i rozpowszechniajcie „KAMENĘ“

PRZEGLĄD POEZYJ

Jan Brzękowski „Zaciśnięte dookoła ust“ s. 38 i 2 nlb, ilustr. Max Ernst, ukł. graf.: Wł. Strzemiński, Bibli. „a. r.“, nr 7 Warszawa 1936, Dom Książki Polskiej.

Ostatni zbiorek wierszy Jana Brzękowskiego „Zaciśnięte dookoła ust“ uwyrażnia kilka nowych rysów zaznaczającej się u Brzękowskiego ewolucji ku pewnego rodzaju zrównoważeniu się i ku poszukiwaniu nowych rygorów. Pod tym względem zresztą ewolucja ta jest równoległa do linii rozwojowej nowatorstwa zachodniego, gdzie coraz bardziej uwidacznia się po Sturm und Drang Periodzie chęć utrwalenia podstaw. Ten aspekt każe zwrócić uwagę na stanowisko Brzękowskiego w łonie naszej t. zw. awangardy, stanowisko niejako odosobnione. On jeden właściwie trzymał przez cały czas rękę na pulsie przemian nowatorstwa zachodniego, który dla innych był źródłem dorywczych tylko reminiscencji. Ostatnie wiersze Brzękowskiego wykazują właśnie ową tendencję znalezienia płaszczyzny równowagi. Metafora jest nadal wykładnikiem napięć poetyckich, ale coraz już mniejszą w niej rolę odgrywa moment nieoczekiwanego asocjacionizmu. W wyniku tego widzenie świata staje się mniej zawikłane. Funkcja metafory w tym widzeniu polega na przerzuceniu nasyconego realizmu w sferę nadrealistyczną, w której dopiero można znaleźć sprawdzenie istoty zjawisk. Ten nadrealizm Brzękowskiego, w którym są tak pewne filiacje, jak i samotne zdobycze, nadaje ostatnim wierszom tego poety wagę ciekawych odkryć psychoanalitycznych z pogranicza jawy, marzenia i podświadomości. Nadrealizm ten coraz bardziej oddala się od automatyzmu psychologicznego, który wpływał na rozluźnienie czy nawet negacje relacji kompozycyjnych, decydujących przecież o dziele sztuki. Nie ma miejsca, by powoływać się na przykłady, wystarczy wskazać piękny efekt wiersza „Maria“ Poemat „Leforest“, zawarty w tomie „Zaciśnięte dookoła ust“, jest niechybnie odbiciem poczynań surrealistów, zmierzających ku związaniu poezji z nurtem życia społecznego. Stąd wybitnie społeczny motyw tego lirycznego raczej niż epickiego poematu, który mimo dobrych poetycko momentów i dynamiki kompozycyjnej nie znalazł jakoś uznania u recenzentów. Ostatnie tomy, jak i wiersze ogłaszane później po czasopismach, wskazują na okrzepnięcie prawie zupełne dojrzałości poetyckiej sztuki Brzękowskiego. Szersza dopiero analiza mogłaby wykazać elementy tej poezji, o których tutaj z musu nie można było powiedzieć,

tej poezji, która na gruncie istotnego nowatorstwa zapowiada trwałe zdobycze.

Stefan Flukowski „Dębem rosnę“, s. 112 i 4 nlb, Warszawa 1936, skł. gł. Tow. wyd. J. Mortkowicz.

Drugi tom wierszy Stefana Flukowskiego jest owocem długiego okresu milczenia. „Słońce w kieracie“ ukazało się przecież jeszcze w 1929 r. Tym wyraźniej zarysowała się struktura wyobraźni poetyckiej Flukowskiego. Uderza przede wszystkim brak tętna emocjonalnego. Jest to mianowicie wyobraźnia, której głównym rysem jest konstruktywizm. Flukowski tworzy swoje wiersze niby schematyczne krajobrazy. Jego widzenie świata wiedzie go nie ku realizmowi, lecz ku wizyjności. Zjawisko zarysowane w całej ostrości swych konturów zostaje zarazem odrealnione, przeniesione poza normalne wymiary, umieszczone w jakiejś kosmicznej perspektywie świata. Z tym odkształceniem, uniezwykleniem widzeń wiąże się właśnie konstruktywizm Flukowskiego, którego wysiłek zmierza ku stworzeniu własnego, autonomicznego świata. Zjawiska świata realnego są jedynie przesłankami zjawisk świata symbolicznego. W tym zawiera się ciekawy i odkrywczy rys postawy intelektualistycznej Flukowskiego. Otóż poeta, podważając zawsze właściwy wymiar owych zjawisk, nie sporowadza ich jednak ku abstrakcji. Dzieje się tak, że jego wyzyjność pozwala mu w tych zjawiskach przeświecić szkielet abstrakcji, który następnie bywa wyraźniej zarysowany, a nieraz nawet przerysowany. Bo Flukowski dociera do ostatecznych perspektyw, jakie otwiera jego postawa, zakreśla z niezwykłą zachłannością krąg samowystarczalności. Dalej pójść niesposób. W tym zawiera się i osiągnięcie i niewola zarazem. Ta schematyczna konstrukcja jest bowiem realizacją obiektywizmu obojętnego piękna, nawet czegoś już innowymiarowego, niż piękno. Pozaludzki jest bowiem wymiar tej poezji, której płaszczyzna zamyka się w dialektyce materializmu. Nie ma tu miejsca dla Ducha. Taką poezją ma swoją legitymację i swój sprawdzian jedynie w sferze formalistycznego estetyzmu. Ale osiągnięcia z tego terenu są osiągnięciami piękna obojętnego. Tom Flukowskiego wnosi pod tym względem niemałe wartości, które jednak wymagałyby dłuższej analizy. Pod tym względem jest to rzeczywiście jeden z najciekawszych tomów w ostatnich latach.

HIERONIM MICHAŁSKI

*Prawdziwy przyjaciel „Kamieny“
jest jej prenumeratorem.*

KRONIKA SŁOWIAŃSKA

Nakładem Głównej Księgarni Wojskowej ukazał się „Przewodnik po Podhalu, Spiszu, Orawie i północnej Słowacji” Jana Reychmana (Warszawa 1937). Książka ta wypełni poważną lukę, jaką był brak odpowiednich nowoczesnych przewodników dla turystów, pragnących urządzić z Tatr wypad i dłuższe wycieczki po miasteczkach, jaskiniach i wierchach pięknej Słowacji. Zwłaszcza miłośnikom gór, chcącym zapoznać się z malowniczymi łańcuchami Niżnich Tatr, Wielkiej i Małej Fatry czy Liptowsko-Orawskich Hol, przewodnik ten może oddać duże usługi. Autor w książce swej uwzględnił wiele danych, wiążących poszczególne miejscowości zarówno Podhalu, jak i Słowacji z historią literatury i sztuki (np. Naprawa—„Grypa szaleje...” Kurka; Szlembark—teka Kulisiewicza pod tym tytułem; Gorce—Orkan; zakręt Wągu z wirami—temat utworów Botta, Krala, Vajanskiego; Jasenowa—Kukuczyn i t. d.) Pięknie wydany przewodnik, który powinien się znaleźć w rękach wszystkich przyjaciół Słowaków i ich uroczej ziemi, uzupełniają liczne mapki.

*
Słynna powieść słowackiego pisarza Milo Urbana „Żywy bicz” została przerobiona na scenariusz filmowy i ma być sfilmowana.

*
Ostatni numer miesięcznika „Ziemia Podhalańska” zamieszcza trzy wiersze niedawno zmarłego wielkiego poety i patrioty słowackiego Marcina Razusa. Są to wiersze: „Tatrom”, „W drodze na front” i „Tęsknota” w przekładach Feliksa Gwiżdża i Antoniego Brosza. W ogóle miesięcznik „Ziemia Podhalańska” poświęca sprawom słowackim sporo miejsca w słusznym założeniu, że Podhale stykające się bezpośrednio ze Słowacją niejako jest predestynowane do nawiązywania z braćmi spoza Tatr serdecznych bezpośrednich stosunków.

Skoro mowa o głosach polskich o śmierci Razusa, to należy jeszcze wspomnieć, że warszawski „Głos Ewangelicki” pod redakcją ks. Gloeha poświęcił Razusowi numer z 5 września.

*
W końcu maja znana firma „Družstevna praca” ogłosiła konkurs na słowacką powieść. Obecnie jury konkursu ogłosiło rozdzielenie nagród. W wyniku rozstrzygnięcia nagrodę pierwszą uzyskał znany powieściopisarz słowacki o zabarwieniu klasowym Piotr Jilemnický za swoją nową powieść „Kompas v nas” Nagroda druga została podzielona między Zuzkę Zguriszkę za powieść „Buczanka z doliny” i Franciszka Krala za powieść dla młodzieży „Spotkanie”

*
Prasa słowacka sporo miejsca poświęca ostatnio omówieniu literackich kwestii polskich. I tak wielki bratysławski dziennik „Slovak” umieścił w ciągu września trzy długie artykuły poświęcone literaturze polskiej. Artykuły te omawiały kolejno polską literaturę o morzu, polską literaturę dla dzieci i poezję Legionów Polskich. Artykuły te są dowodem coraz to rosnącego zainteresowania się literaturą polską w Słowacji.

*
Nakładem „Swiaszczennoj Liry” („Zarubieżje”—czyt. Warszawa 1937) ukazał się estetycznie wydany zbiorek wierszy rosyjskich poetów emigracyjnych A. Kondratiewa, L. Gomolickiego i Georgija Klingera.

*
Przed kilku miesiącami zwróciliśmy na tym miejscu uwagę, że „Biuletyn Polsko-Ukraiński”, którego zadaniem jest przecież m. in. zapoznanie nas z kulturą pobratymczego narodu, tak mało poświęca miejsca przekładom z literatury ukraińskiej. Ostatnio możemy stwierdzić dużą pod tym względem poprawę. W numerach sierpniowych, wrześniowych i październikowych spotkał się wiersze Liwyckiej-Chołodnej, Kosacza, Małaniuka, O. Olżycza i Kłena w przekładach J. Łobodowskiego i C. Jastrzębca-Kozłowskiego.

NOTY

W BIEŻĄCYM MIESIĄCU upłynęło 10 lat od śmierci Gustawa Dańłowskiego, socjalisty do końca wiernego swym ideałom, żołnierza 1. Brygady i jednego z wybitniejszych powieściopisarzy młodopolskich „szkoły” Żeromskiego. Może by które z wydawnictw pomyślało o ponownej edycji u niesłusznie zapomnianych nowel i powieści autora wzruszającej „Jaskółki“

POŻYTECZNĄ RZECZ uczyniła p. Maria Winowska referując w № 40 „Pionu” artykuł Maritain’a o tzw. „świętej wojnie”. Z wywodami świętego pisarza katolickiego powinni się koniecznie zapoznać nasi domorośli katolicy z pod znaku „Małego Dziennika” Maritain m. in. pisze: „Strasznym świętokradztwem jest masakrowanie księży—choćby to byli „faszyści”,—wszak są to słudzy Chrystusowi—z nienawiści do religii; ale jest także świętokradztwem nie mniej strasznym masakrowanie biednych—choćby to byli marksiści: wszak jest to lud Chrystusowy — w imię religii... Świętokradztwem jest profanowanie świętych miejsc i Najświętszego Sakramentu, przesławowanie wszystkiego, co tylko poświęcone jest Bogu, gwałcenie i katowanie zakonne, profanowanie i wystawianie na pośmiewisko grobów; i świętokradztwem jest rozstrzelanie setek ludzi z okazji obchodu uroczystości Wniebowzięcia lub niszczenie przy pomocy bomb rzucanych z samolotów, jak w Durango—albo w wojna święta nienawidzi zawzięciej od niewiernego wierzących, którzy jej nie służą—kościółów i zapelniającego je ludu oraz księży, odprawiających mszę, lub, jak w Guernica, całego miasta wraz z kościołami i cyboriami przy akompaniamencie karabinów maszynowych, zmiatających uciekającą ludność”. „W imię świętej wojny pełni się teror pod znakami i sztandarami religijnymi, krzyż Jezusa Chrystusa błyszczy jak symbol wojenny nad agonią rozstrzeliwanych; i ani serce człowieka, ani jego dzieje nie mogą tego znieść. Człowiek, który nie wierzy w Boga, może pomyśleć: w gruncie rzeczy to tylko okup nowego porządku i jedna zbrodnia warta drugiej. Człowiek, który wierzy w Boga, wie, że nie może być większego bezładu: jest to tak, jak gdyby kości Chrystusowe, których ściepacz na Golgocie nie śmieli tknąć, były łamane na krzyżu przez chrześcijan”.

Ze w naszych sferach katolickich zauważyć można w sprawie hiszpańskiej pewne otrzeźwienie, zaświadczyć może zamieszczony w N 41 poznańskiej „Kultury” interesujący artykuł Jerzego Bandrowskiego pt. „Corrida”

UKAZAŁ SIĘ już trzeci w ostatnich dwu latach przekład na język polski „Demona” Lermontowa. Ostatnie tłumaczenie Ireny Słomińskiej pięknym poetyckim wyrazem o całe niebo przewyższa dwa poprzednie (Kazimierza Chylińskiego z r. 1936 i Józefa Skłodowskiego—1937 r.).

W NR 47 „PROSTO Z MOSTU” znajdujemy ciekawy artykuł Stanisława Piaseckiego „Łom żelazny i mózg”. Słusznym wywodom autora, potępiającym ohydny napasł na red. Wasiutyńskiego, musi przykłaść każdy ucześciwy człowiek. Ośmiu zbiorów politycznych napada wieczorem w bezładnej dzielnicy Warszawy na bezbronnego, słabego człowieka i w bestialski sposób załatwia z nim krwawe porachunki. Red. Wasiutyński cudem uniknął śmierci. I słusznie pisze Piasecki: „to nie są walki polityczne o Polskę, ale to są już odruchy samobójcze”. Ale baczny czytelnik „Prosto z mostu” musi zauważyć, że dopiero krzywda przyjaciela zmusiła p. Piaseckiego do tak ostrej reakcji, której na próżno oczekiwaliśmy w dziesiątkach innych wypadków, gdy również hulało w Polsce rozszalałe zwierzę. A już w następnym (48) nrze „Prosto z mostu” czytamy w felietonie „ryżową szcztoką” takie miłe zdanko p. Karola Zbyszewskiego: „studenci Polacy mówią z Żydami conajwyżej krótki gwałtowny kontakt boksersko-piłkarski”. Styl tego ustępu (w mniemaniu ryżowej szcztoki bardzo dowcipny) nie świadczy wcale o tym, by p. Zbyszewski (a więc chyba i redaktor) potępiał tego rodzaju „kontakty”. Jak to powiedział Sienkiewicz? „Jeśli ktoś Kalemu zabrać krowy to jest zły zbytek; dobry to jak Kali zabrać komu krowy”

Prosimy o jednanie nowych prenumeratorów

Najbliższy podwójny numer „Kamieny“ ukaże się w grudniu r. b. i będzie w całości poświęcony nowej literaturze francuskiej w przekładach wybitnych tłumaczy.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. MIECZ. L. w WARSZAWIE: Prosimy jednak o przyjęcie naszej poprawki w wierszu („grzmot oskarda“—nie psuje to wcale rytmu), bez której nie moglibyśmy zamieścić tego utworu. Szyk wyrazów, który Pan proponuje, pomimo swej sztuczności budzi tylko nieporozumienie co do rodzaju rzeczownika.

P. STAN. T. w WARSZAWIE: Z nadesłanych wierszy najlepszy „W wieczór deszczowy“. Inne robią wrażenie szkiców, które wymagałyby jeszcze ponownego opracowania. Na razie nie będziemy drukowali, ale prosimy o nas w przyszłości nie zapominać.

P. FENIKS CZ. w CZORTKOWIE: Otrzymane przez nas wiersze nie nadają się jeszcze do druku. Radzimy pracować nad większą prostotą wyrazu (unikać np. takich przenośni jak „dekolt sławy“ i dbać o lepszy dobór rymów (nie posługiwać się gramatycznymi: „kwitnącą—broczący“, „wahanía—kochanie“ „ostrzeliwuje—lustruje“, „brzegami—snami“ i t. d.)

P. ALFRED W. w ŁODZI: Z nadesłanych wierszy najlepsze bez tytułu („Nad drzewami...“ „Krajobrazy sine...“, ale jeszcze nie dla nas. Pan również nadużywa rymów gramatycznych („bramami—głowami“, „nenufarów—pożarów“, „świeczników—taneczników“ „krynowiny—dziewczyny“ i t. d.) Pracować warto. Prosimy o nas nie zapominać.

P. ZENON P. we WŁODZIMIERZU WOŁ.: Z wierszy nie skorzystamy. W sprawie powieści niech Pan się zwróci bezpośrednio do drukarni „Kultura“, Chełm, Lubelska 10.

PISMA NADEŚLANE DO REDAKCJI

Biuletyn Polsko-Ukraiński Nr. 32—39

Czarno na białem Nr. 19—20

Dekada Nr. 1—2

Elan Nr. 1

Epoka Nr. 20

Krakowski Kurier Wieczorny

Kronika Nadbużańska Nr. 36—43

Kuźnica Nr. 17—19

Lwów Literacki Nr. 8

Marchońł zes. 4